

Zbigniew Mentzel

Doktoraty, których nie napisałem

Kiedy w połowie lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku skończyłem studia na Wydziale Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, bardzo uradowany z propozycji, abym został na uczelni jako asystent w świeżo utworzonym Instytucie Kultury Polskiej, postanowiłem jak najszybciej napisać pracę doktorską, i to na temat tak ciekawy, by dysertacja wydana jako książka czytana była nie tylko w wąskim gronie akademickich specjalistów. Prawdę mówiąc, taki temat chodził już za mną od dawna. Oto on: „Model kariery literackiej w PRL na przykładzie Andrzeja Brychta i Ernesta Brylla”.

Dlaczego wybrałem akurat tych pisarzy? „W latach 1965–1970 – pisał Jan Błoński w książce pod znamienym tytułem *Odmarsz*, książce-pożegnaniu z dotychczasową pracą krytycznoliteracką – najgłośniej było o Ernestie Bryllu i Andrzeju Brychcie [...] Brylla nic oczywiście nie łączyło z Brychtem prócz inicjalnej literki nazwiska, którą los mnie także opatrzył”. Błoński się mylił, a nawet w obu zdaniach sam sobie zaprzeczał. Brychta i Brylla łączyło właśnie to, że w latach 1965–1970, w schyłkowym okresie panowania ekipy Władysława Gomułki, wyraźnie faworyzowani przez władzę zrobili niewiarygodną wręcz karierę, o której najzdolniejsi wówczas pisarze polscy mogliby co najwyżej pomarzyć.

Dlaczego tak się stało? Na to właśnie pytanie chciałem w swoim doktoracie odpowiedzieć.

*

Brycht i Bryll byli rówieśnikami, urodzili się cztery lata przed wybuchem wojny. Po wojnie obaj pracowali przez jakiś czas fizycznie. Brycht był górnikiem, rąbał węgiel na przodku kopalni „Wieczorek” w Szopienicach. Bryll na Wybrzeżu pracował jako robotnik w stoczni. Brycht służył w wojsku, posłano go na dłużej do kompanii karnej. Przez pewien czas był bokserem wagi ciężkiej. Siłą swoich pięści lubił się popisywać jeszcze jako znany pisarz. Na wieczorach autorskich z jego udziałem rozlegały się raz po raz „krzyki bitych, brzęk tłuczonego szkła i loskot przewracanych sprzętów” – wspominał nie bez zazdrości inny „bokser piszący”, poeta Roman Śliwnik; w polskiej literaturze tamtego czasu „bokserów piszących” było sporo, zazwyczaj bili słabszych od siebie kolegów po piórze, którym nieostrożnie zdarzyło się skrytykować ich utwory.

Artur Sandauer pierwszy bodaj zauważył bystro, że mit brutala, nieokrzesanego plebejusza, nawiedzający literaturę polską od czasu, kiedy objęcie dziedzictwa przez „cichych, ciemnych, małych ludzi” zapowiadał Mickiewicz, zyskał w PRL, za Gomułki i Moczara, „sens dodatkowy: stał się programem polityki kulturalnej. Jako piewca nowych czasów przestał już wystarczać Broniewski – ostatni w końcu z Kordianów”. Czekano na objawienie się w literaturze – chama. „W tę atmosferę

oczekiwania – pisał Sandauer – wszedł Ernest Bryll: znalazł w niej jak gdyby grunt gotowy na swe przyjęcie”. Stylizował się na wulgarność, kokietował plebejskością, robił, co mógł, by zobaczono w nim nadciągającego „chama”. Taki też tytuł, *Cham*, miał jego programowy wiersz.

*

Pamiętam, że duże wrażenie zrobił na mnie inny wiersz Brylla (*.* [Nie należy już do mnie...] z tomu *Sztuka stosowana*). Dawno temu coś nawet o nim próbowałem napisać.

Nie należy już do mnie moja ręka prawa...
– bo palec wskazujący sprzedałem, by patrzył
w przyszłość....

– tak się wiersz ów zaczynał. Dorastającemu w czasach stalinowskich poecie wydaje się, że palce u ręki toczą między sobą walkę klasową. Cztery smukłe, te, które trzymają się zawsze razem, połączyło „lepsze”, „pańskie” pochodzenie, to one nosiły pierścienie i sygnety, to nad nimi pochylały się kornie głowy całujących. W oczach poety te rasowe palce, wczorajsi arystokraci, dzisiaj – „kundlą się”, pospolicieją, degenerują. Sympatię poety wzbudza piąty „chamski” palec, ordynus kciuk, choć niezgrabny i tępy, z pewnością od tamtych zdrowszy, silniejszy:

Na niego nie włązi żaden pierścionek, ani go urzekły
dyskursy w rękawiczkach. Tyle że bez twarzy
jak to plebeje. I nie zauważy
że idąc przeciw tylko mocniej bierze
co sięgają panowie. Lecz przeciwny szczerze...

To do niego – zwycięskiego chama – należeć będzie przyszłość. To po jego stronie jest historia. Poeta prowokacyjnie opowiadał się w swoich wierszach za kulturą ludzi „bez twarzy”, ale „z głową na karku”. Kulturą swojską i cwaniacką. Kulturą „pańszwinizmu”. Kulturą bezwstydną pazerności.

Kiedy pod koniec lat sześćdziesiątych minionego wieku ciemne, plebejskie siły w partii coraz wyraźniej parły do władzy, pojawiło się groźne zawołanie: Uwaga! Mława idzie! W rozmowie na ten temat z osobą, która nie miała powodu, aby powiedzieć mi o tym nieprawdę, Bryll miał zniemacka wypalić: „A ja tej Mławie dałbym koronę Jagiellonów do zabawy”.

*

Twardoreki i twardogłowy Andrzej Brycht, któremu taka pazerność najwyraźniej imponowała (mówiąc słowami Brylla, marzył o „skupowaniu co najpiękniejsze”), na zewnątrz nią gardził. Bohater najgłośniejszej jego książki, prosty chłopak z ubogich łódzkich Bałut, pomocnik piekarski, poznaje przypadkiem bananową młodzież, „towarzycho” dziewczyny, w której zakochał się podczas ostatnich przed wojskiem wakacji. Już sam widok

tych rozwydrzonych „synalków”, „parszywych gnojów”, których dzięki zamożnym tatusiom stać na wyjazdy „do Paryżewa” i kupowanie tam najmodniejszych ciuchów, doprowadza go do wściekłości. Chciałby „nakopać im do rzyci”, a potem wysłać do kopalni...

Oprócz starannie, tylko do czasu zresztą, ukrywanej pazerności, Brycht miał w sobie coś o wiele ważniejszego dla pisarza, który chciał w PRL zrobić karierę. Cały przepelniony był nienawiścią. O Tadeuszu Borowskim, który swój wielki talent zmarnował, oddając się bez reszty stalinowskiej propagandzie, Miłosz napisał: „Przyglądając mu się uważnie Partia odkryła, że jest w nim rzadki i cenny skarb: prawdziwa nienawiść [...] Nienawiść, jaką w nim istniała, można przyrównać do burzliwej rzeki, niszczącej wszystko po drodze. Gnała ona naprzód bezużytecznie: cóż prostszego, jak skierować jej bieg w pożądanym kierunku, a nawet ustawić nad nią wielkie młyny, które będzie obracać? Cóż za ulga: nienawiść użyteczna, nienawiść w służbie społeczeństwa!”

Wielkie młyny obracane przez rzekę nienawiści Brychta zmielić miały na proch nieprawomyślnych obywateli polskich podejrzanego pochodzenia, a razem z nimi, może przede wszystkim, niemieckich rewanżystów czyhających na nasze ziemie odzyskane. Po sukcesie *Dancingu w kwaterze Hitlera*, książce, która zdawała się już zapowiadać haniebną kampanię antyinteligentką i antysemicką z marca 1968 roku, Andrzej Brycht opływający w dostatki, jeżdżący po szarych ulicach Warszawy nowym modelem alfa romeo, wysłany został do zachodnich Niemiec. Przywiózł stamtąd kłamliwy pamflet – osławiony *Raport z Monachium*. Książkę wydaną w ogromnym nakładzie szybko przerobiono na teatralny monodram, z którym aktor Ryszard Filipiński objeżdżał w kraju szkoły. Wysoki partyjny dygnitarz przekazał Brychtowi dobrą nowinę: „Towarzyszowi Gomułce Wasz *Raport* bardzo się spodobał”.

Po odejściu Gomułki i zmianie ekipy rządzącej losy Brychta i Brylla potoczyły się zupełnie inaczej. Pierwszy „ześwinił się”, jak ogłosił komunikat Polskiej Agencji Prasowej wraz z informacją, że pisarz poprosił o azyl na Zachodzie i wydrukował parę tekstów w paryskiej „Kulturze” u Giedroycia. Drugi pozostał w kraju i został „wieszczem na szkle malowanym”. Jego *Rzecz listopadowa* i *Kurdesz* należały do sztuk najczęściej w teatrach granych. Ale późniejsze losy Brychta i Brylla nie miały już być przedmiotem mojego doktoratu. Interesował mnie okres pierwszy. Na brak frapującego materiału nie mogłem narzekać.

*

Nie pamiętam, kto pierwszy ostrzegł mnie, że jeśli przedstawię w Instytucie projekt takiego doktoratu, od razu wylecę z pracy na zbity pysk. Wydziałem Filologii Polskiej, przy którym powołano Instytut, rządziła partyjna frakcja narodowców z osławionym Janem Zygmuntem Jakubowskim na czele. O ich faworytach, Brychcie i Bryllu, nie mógłbym napisać złego słowa. Zanim się tym nie przejąłem. Po głowie chodził mi już inny temat doktoratu, być może ciekawszy nawet niż poprzedni: „Czterej najzdolniejsi uczniowie Kazimierza Wyki jako grupa nieformalna w polskiej literaturze współczesnej”. Ci najzdolniejsi to, rzecz jasna, Jan Błoński, Ludwik Flaszen, Andrzej Kijowski i Konstanty Puzyna. Profesor Wyka, przy całej

swej ogromnej wiedzy i pisarskim talencie, był też wybitnym pedagogiem, bezgranicznie oddanym uczniom, w których dostrzegł rzadko spotykany potencjał twórczy. Podobno, kiedy jeden z czterech wspomnianych studentów pokazał mu swoją młodzieńczą prozę, przeczytał ją nocą w całości i następnego dnia oddał autorowi. W maszynopisie każde zdanie, które wydało mu się dobre i ciekawe, Wyka podkreślił z wyczerpującym komentarzem na marginesie.

Świadom karkołomności takiego porównania zaryzykuję twierdzenie, że czterech swoich ulubionych uczniów potraktował Wyka tak, jak Maksym Gorki Izaaka Babla, przeczytawszy kilka jego pierwszych opowiadań. Słowa, które od Gorkiego Babel usłyszał, rozstrzygnęły o jego losie: „Gwoździe zdarzają się małe – powiedział Gorki – a bywają i duże, jak mój palec [...]. Droga pisarza, szanowny panie pistolet, usiana jest gwoździami przeważnie dużych rozmiarów. Chodzić po nich trzeba będzie boso, krwi ubędzie dosyć i z każdym rokiem będzie ona ciec coraz obficie... Jeśli słaby z pana człowiek, to kupią pana i sprzedadzą, zahukają, uśpią i uwiedną pan, zajęty udawaniem, że z pana kwitnące drzewo...”

Wyka dobrze zdawał sobie sprawę, że w Polsce rządzonej przez komunistów droga krytyka literackiego usiana jest gwoździami dużych rozmiarów. Komentarz krytyczny z natury rzeczy powinien być jaśniejszy niż to, co komentuje. Pisanie pod kontrolą cenzora jasnych komentarzy do uciekającej od jasności literatury musiało być kwadraturą koła. Ale wszyscy najzdolniejsi uczniowie Kazimierza Wyki – Błoński, Flaszen, Kijowski i Puzyna – próbowali, każdy na swój sposób, tę kwadraturę rozwiązać. Nie zawsze im się to udawało. Ich Mistrz nazywał wtedy każdego dezenterem. Choć z czasem rozjechali się po świecie, nie tracili ze sobą kontaktu. Rozumieli się w pół słowa. Ich prace wiodły często żywot półkonspiracyjny. Chciałem dotrzeć do korespondencji, którą prowadzili.

Traf chciał, że w roku 1975 w znakomitym tłumaczeniu Małgorzaty Łukasiewicz ukazała się u nas klasyczna praca Georga Simmela *Socjologia*. Studiowałem ją z zapalem, zwłaszcza rozdziały poświęcone tajności i tajnym związkom. *Rola tajności w życiu społecznym, Cechy tajnego związku, Tajność i indywidualizacja*. Tak. Taka właśnie socjologiczna podbudowa było mi potrzeba w mojej pracy.

Czas nagił. Przyszła wreszcie pora, abym przedstawił projekt doktoratu na zebraniu w Instytucie. Zdenerwowany mówiłem zapewne chaotycznie, ale przy odrobinie dobrej woli z pewnością można było zrozumieć, dlaczego wybrałem taki a nie inny temat, co mnie w nim pasjonowało. Skończyłem prezentację po dwudziestu minutach. Przyszła kolej na opinie przełożonych.

– Tajny związek? Grupa nieformalna? Kolega chciałby chyba napisać powieść, a nie doktorat... – zaczął Profesor, Dyrektor Instytutu, zastępca członka Komitetu Centralnego PZPR.

– Czterej uczniowie Kazimierza Wyki i konspiracja. Przepraszam, nic z tego wszystkiego nie rozumiem – wzruszył ramionami Doktor, który wkrótce zastąpić miał Profesora na dyrektorskim stanowisku.

A docent, „marcowy docent”, który po roku 1968 wyładował na Uniwersytecie razem z dużym desantem nieudaczników, powiedział troskliwie: – Panie Zbysku, musi pan zmienić temat doktoratu. Najlepiej niech pan napisze coś o realizmie.